

# Tamiza wpada do Wisły. Polski Londyn jako fundament III RP

Jan Maciejewski  
Krzysztof Mazur

S potkanie z polskim Londynem to sposób na ponowne związanie nici polskiej historii. Tam właśnie przechowuje się pamięć o II Rzeczypospolitej i pielęgnuje jej główne idee. Pijąc herbatę w mieszkaniu potomków londyńskich emigrantów z lat czterdziestych, możemy się przenieść do czasów, gdy Polacy byli dumni ze swojego państwa. Czytając publicystykę londyńczyków, możemy obcować z ludźmi żyjącymi państwem, które stanowiło dla nich formę egzystencji. Jeśli system komunistyczny był rzeczywiście walcem zrównującym z ziemią dawną Rzeczypospolitą, to walec ten nie dotarł na Wyspy. Nad Tamizą znajduje się zapomniany przez nas skarb, który mógłby się stać fundamentem III Rzeczypospolitej.

## Polski Rząd na Obczyźnie

Zacznijmy jednak od początku. Wielka Brytania dla Polaków nie była nigdy głównym celem emigracji. Bohaterowie kolejnych nieudanych powstań wybierali raczej Francję, której kulturę od wieków bardzo ceniono w naszym kraju. Dlatego po klęsce 1939 roku to Paryż, a następnie

Angers, stały się centrami polskiego życia politycznego. W październiku 1939 roku prezydent wydał dekret o rozwiązaniu sejmu i senatu, a dwa miesiące później powołał w ich miejsce skromniejszą

## *Komunistyczny walec nie dotarł na Wyspy*

liczebnie Radę Narodową Rzeczypospolitej Polskiej. Miał to być substytut parlamentu, organ doradczy rządu i prezydenta, którego członków mianował ten ostatni. Atak Niemiec na Francję w czerwcu 1940 roku ponownie zmusił polskie władze do ucieczki. W odpowiedzi na zaproszenie premiera Winstona Churchilla wybór padł na Londyn. Zapewniał on bliskość spraw europejskich, a jednocześnie dawał nadzieję, że nie będzie potrzebna kolejna ewakuacja.

Od 1940 roku w Londynie osiadły najwyższe władze Rzeczypospolitej, które przez cały czas II wojny światowej były powszechnie uznawanym na forum międzynarodowym reprezentantem narodu. Oczywiście nie był to zwykły rząd, gdyż niezwykle była sytuacja, w jakiej się zna-

laż. Jeśli cechą konstytutywną rządu na mocy Konstytucji kwietniowej było prawo do *kierowania sprawami Państwa* (Art. 25, p. 1) przez egzekwowanie prawa na jego terytorium, to Polski Rząd na Uchodźstwie mógł korzystać z tej prerogatywy w bardzo ograniczonym stopniu. Oczywiście w jego kompetencjach pozostawały decyzje w sprawie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz budowy podziemnych struktur wojskowych w kraju. Polskie Państwo Podziemne posiadało także struktury cywilne zorganizowane wokół Delegatury Rządu na Kraj. Powołano także Ministra Opieki Społecznej zajmującego się opieką nad Polakami, którzy znaleźli się poza terytorium kraju, oraz Ministra Skarbu sprawującego pieczę nad majątkiem państwowym wywiezionym z terenów Rzeczypospolitej. Wreszcie rząd prowadził ożywioną politykę zagraniczną. Głównym jej celem było, rzecz jasna, reprezentowanie interesu Polski w kontaktach z mocarstwami. Nawiązano jednak także ożywione kontakty z innymi państwami, czego przykładem jest podpisana w 1940 roku z czechosłowackim rządem emigracyjnym deklaracja o utworzeniu po wojnie federacji państw Europy Środkowej (zob. Rojek 2012d). W tym okresie rząd emigracyjny był zatem legalną władzą, działającą co prawda w niezwykłych warunkach, ale uznawaną zarówno przez naród znajdujący się pod okupacją, jak i społeczność międzynarodową.

### **Rząd bez państwa**

Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy pojawiał się konkurencyjny ośrodek władzy kontrolowany przez Sowietów. Na przełomie 1943 i 1944 roku została utworzona Krajowa Rada Narodowa (KRN), która ogłosiła się jedynym legalnym polskim

parlamentem. W tym okresie doszło do walk między podziemnymi strukturami podległymi Londynowi i komunistycznymi strukturami podległymi Moskwie. Równoległe miały miejsce kluczowe wydarzenia na arenie międzynarodowej. W Teheranie „wielka trójka” zdecydowała, że polska granica wschodnia będzie się opierać na tzw. linii Curzona, która w zamian otrzyma zachodnią granicę wzdłuż Odry i Nysy. Alianci decydując się na otwarcie frontu w Holandii, a nie na Bałkanach, przesądzi o tym, że polskie terytorium zostanie wyzwolone przez Armię Czerwoną. W ten sposób Polska została *de facto* włączona do radzieckiej strefy wpływów.

W lipcu 1944 roku decyzją Rosjan Krajowa Rada Narodowa ogłosiła Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego tworzący pozory przejmowania władzy przez Polaków na ziemiach kontrolowanych przez Armię Czerwoną. Ostatnią szansą na odzyskanie przez polski rząd na obczyźnie kontroli nad krajem było powstanie warszawskie. Jedynie wyzwolenie stolicy przez armię kontrolowaną przez Londyn mogło znacząco poprawić pozycję rządu emigracyjnego. Znamienne, że po klęsce powstańcy otrzymali status żołnierzy, a AK została uznana za polskie siły zbrojne podległe Londynowi, dzięki czemu jej członkowie mieli być traktowani zgodnie z Konwencją Genewską. Na powstanie warszawskie można więc patrzeć jak na jedną z ostatnich prób odzyskania przez emigrację kontroli nad krajem.

Stalin w Jaltce przeforsował zmianę granic Polski oraz uzyskał zgodę na powstanie Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej. Tym samym alianci przypieczętowali zamach stanu dokonany bez jakiegokolwiek udziału Polaków. Rząd emigracyjny w Londynie 13 lutego 1945 roku wydał oświadczenie, że „decyzje

Konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez Rząd Polski i nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego”. Dla wszystkich było jednak oczywiste, że tracił on ostatecznie nadzieję, iż w ładzie powojennym odzyska władzę nad Polską. Przyszłość kraju rozstrzygnęła się bez jego udziału.

Londyn był coraz bardziej marginalizowany. W marcu 1945 roku komuniści porwali szesnastu przywódców polskiego podziemia. Ich proces w Moskwie był wydarzeniem bez precedensu, gdyż przywódcy jednego państwa zostali osądzeni przez wymiar sprawiedliwości innego kraju na podstawie kodeksu karnego sądzących. Prawo przestało mieć znaczenie wobec siły politycznej i militarnej. Już wtedy zostało przesądzone prawne odpodmiotowanie polskich ziem przez zerwanie z ładem prawnym II RP. Rodowód naszych współczesnych problemów z hybrydowością i niekonsekwencją prawną sięga właśnie tego okresu całkowitej destrukcji i zerwania.

W czerwcu 1945 roku rząd Tomasza Ariszewskiego wydał notę, w której po raz kolejny odrzucał postanowienia konferencji w Teheranie i Jaltcie. Nie godził się na uznanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, gdyż swoje uprawnienia konstytucyjne mógł przekazać tylko rządowi wyłonionemu w wolnych wyborach. Nie przeszkodziło to jednak Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym w cofnięciu w lipcu 1945 roku uznania dyplomatycznego dla Rządu RP na Uchodźstwie. Oznaczało to wbicie ostatniego gwoźdźca do trumny rządu emigracyjnego. W ślad za tą decyzją poszły inne kraje. Najdłużej dyplomatyczne stosunki z Londynem utrzymywała Irlandia, Hiszpania i Watykan (rząd emigracyjny do 1958 roku miał ambasadora przy Stolicy Apostolskiej). Poza możliwo-

ścią prowadzenia polityki zagranicznej Londyn został także pozbawiany władzy nad armią. W styczniu 1945 roku została rozwiązana AK, a ostatnie jednostki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zostały zlikwidowane w 1947 roku.

Zatem około 1948 roku rząd londyński znalazł się w tragicznym położeniu. Za sprawą aliantów przestał być uznawany na forum międzynarodowym za reprezentanta narodu. Wobec rozwiązania podległych mu sił zbrojnych nie dysponowały już armią. Rozwiązanie struktur Polskie-

### *Emigracja, jak świętość, nie jest wzniosła*

go Państwa Podziemnego oznaczało brak jakiegokolwiek możliwości bezpośredniego wpływania na sytuację w Polsce. Wobec instalowania się nowej władzy politycznej również naród w coraz mniejszym stopniu traktował Londyn jako swojego reprezentanta, a obcość pogłębiała propaganda komunistyczna uznająca, bardzo słusznie, rząd emigracyjny za swojego największego wroga. Kurczył się majątek pozostający do dyspozycji rządu. „Rząd londyński” tracił w ten sposób najważniejsze prerogatywy rządu.

Los polskich emigrantów był niezwykle trudny. Na wspomniane kwestie kulturowe nałożyły się jeszcze ważniejsze zagadnienia bytowe. Nawet najbardziej zastużeni dowódcy wiedli na emigracji wyjątkowo trudne życie. Można przywołać przykład gen. Stanisława Maczka, który pracował jako barman w Edynburgu, gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego, który wyrobił abażury, czy gen. Stanisława Sosabowskiego pracującego jako magazynier w fabryce urządzeń elektrycznych. „Emigracja, jak świętość, nie jest wzniosła” – pisał jeden z wybitniejszych emigrantów, Ty-

mon Terlecki. Rzeczywiście, trudno dojrzeć w historii wychodźstwa wzniosłości heroizmu, spektakularności walki i osiągnięć.

### **Odrzucamy Jajtę**

Rząd emigracyjny nie uznał jednak, że jego misja została zakończona. Choć nieuznawany przez społeczność międzynarodową, coraz bardziej obcy rodakom mieszkającym w kraju, postanowił się stać symbolem sprzeciwu wobec Polski rządzonej przez komunistów. Tak sprzeciwów opisał Adam Pragier, jeden z londyńczyków: „Polska pojałtańska państwem nie jest. Są trzy powszechne przez naukę przyjęte kryteria państwa: obszar, ludność, władza, czyli wola państwowa. Obszar państwowy, choć odmienny niż przed wojną, istnieje, ludność – także. Ale władza, czyli wola państwowa, istnieje tylko z pozoru, a nie w rzeczywistości. Pierwszy tzw. rząd Polski pojałtańskiej został ustanowiony bez woli, a nawet bez wiedzy narodu polskiego [...]. Ten rzekomy rząd podlegał wszakże od samego początku, tak jak i dziś, Moskwie. Tam mieściła się wola i władza państwowa rządząca Polską. Polska jest tedy sowieckim obszarem okupacyjnym, zarządzanym bezpośrednio przez Moskwę, przy pomocy utworzonego przez nią aparatu rządzącego, złożonego teraz z Polaków” (Pragier 1969: 292–296). Źródłem sprzeciwu był zatem gwałt zadany Polsce w Jajcie przez światowe mocarstwa i wynikający z niego brak suwerenności PRL. Zarazem przywódcy emigracji rozumieli, że utrzymywanie formuły rządu emigracyjnego ma zadanie wyłączenie symboliczne, gdyż ośrodek ten stracił podstawowe prerogatywy rządu. Bez złudzeń Pragier pisał, że „emigracja polityczna nie żyje mitem Drugiej Rzeczypospolitej, która już nie istnieje. Zachowuje symbole jej

nieprzerwanej ciągłości, ale tylko w sensie nieustającego protestu przeciwko porządkowi pojałtańskiemu. Ale emigracja polityczna nie może pozwolić wprowadzić się na tor mitu Trzeciej Rzeczypospolitej – która także nie istnieje. Jednym z jej zadań jest właśnie ujawnianie tego stanu rzeczy. Pozycje wewnątrz-instytucjonalne są przyrodzonym polem walki dla tych, co są w kraju. Emigracja polityczna nie stanowi opozycji wobec władz rządzących krajem, ale odmawia tym władzom prawowitości” (tamże: 107–111). Londyńczycy nie byli więc tak wielkimi idealistami, by głosić trwałość II Rzeczypospolitej na poziomie prawno-instytucjonalnym. Chodziło im jednak o przeniesienie symboli ciągłości politycznej między II RP a nieistniejącą jeszcze III RP, ponad odrzucanym porządkiem pojałtańskim.

Strategia niezgody na ład pojałtański nie dotyczyła jedynie kwestii państwa. Skoro mówiono o sowieckim obszarze okupacyjnym, to jakakolwiek działalność na rzecz tego tworu oznaczała dla londyńczyków kolaborację. Stąd wielu z nich odcinało się nie tylko od oficjalnych struktur, ale także od rodaków z kraju, starających się odnaleźć w nowych realiach. Przykładem tej postawy była uchwała Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie z 1947 roku zobowiązująca członków do powstrzymania się od publikowania w kraju. Uchwała ta, choć nie była do końca ściśle przestrzegana i wywoływała liczne kontrowersje, zdradzała ważny rys świadomości niezłomnych. Trudno bowiem o większe wyrzeczenie dla ludzi pióra, niż świadome odcięcie się od większości potencjalnych czytelników. Emigracja znad Tamizy uznała jednak, że nie ma sensu wpływać na rzeczywistość komunistyczną, gdyż wszelkie zmiany w ramach istniejącego systemu nie mają sensu. Dopiero

odzyskanie niepodległości miało na nowo przywrócić możliwość wymiany myśli. Za tę postawę przyjdzie im zapłacić najwyższą możliwą cenę, jaką jest zapomnienie. Dlatego społeczeństwo żyjące w PRL-u nie tylko przestało z czasem uznawać mandat rządu emigracyjnego do reprezentowania Polaków, ale wręcz zatraciło świadomość istnienia autorów takich jak Adam Pragier, Tymon Terlecki czy Józef Mackiewicz. Inna sprawa, że nawet, gdy udawało się pokonać żelazną kurtynę, publikacje emigrantów londyńskich nie znajdowały w Polsce podatnego gruntu. Mówili oni coś zupełnie innego od tego, czego chcieli słuchać i czego potrzebowali Polacy. Niezłomna krytyka ówczesnego systemu politycznego potączona z moralizatorstwem musiała brzmieć w kraju dość egzotycznie. Więcej, była ona oczywistym oskarżeniem. Z właściwą sobie brutalnością rezultat strategii niezłomnych podsumował Jerzy Urban, kiedy na przelocie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stwierdził, że większą polityczną wagę od emigracyjnych władz ma mucha przechadzająca się po suficie w sali posiedzeń KC. Zarówno wtedy, jak i przez długi czas potem mogło się wydawać, że emigracja londyńska to elitarny klub coraz starszych i bardziej oderwanych od rzeczywistości politycznych bankrótów.

### **Londyn i Paryż**

Niezwykle interesujące jest porównanie strategii niezłomnych ze strategią innego bardzo ważnego ośrodka emigracyjnego w Maisons-Laffitte. Jerzy Giedroyc wydając „Kulturę”, wychodził z odmiennych założeń. Komunizm był jego zdaniem „faktem politycznym, społecznym i gospodarczym, z którym należało się liczyć, a tym samym odrzucić rojenia

o możliwości cofania historii. [...] Popieranie przez «Kulturę» destalinizacji oznaczało realizację bycia w związku z rzeczywistością krajową” (Habielski 2008: 156). Różnicę między Paryżem i Londynem bardzo trafnie określił swego czasu Juliusz Mieroszewski. „Jeżeli ktoś siedzi w więzieniu na chlebie i wodzie, jest rzeczą wielkiej wagi, by raz dziennie dostawał gorącą kaszę. Nasi przeciwnicy krzykną: więźnia trzeba odbić siłą, bo taknie wolności, a nie kaszy. A jeżeli uwolnienie nie będzie możliwe w obrębie najbliższych lat dziesięciu czy dwudziestu – to wówczas co? Owa kasza może stanowić o życiu lub śmierci – o doczekaniu dnia wolności” (Mieroszewski 1956: 176–177). Rzeczywiście, niezłomność Londynu zmuszała ich do przedkładania wolności nad kaszę; Paryż uznawał, że wolność nie była możliwa, dlatego należy się skupić na dostarczaniu kaszy.

Inne założenia oraz odmienne strategie działania sprawiały, że te dwa ośrodki miały różny wpływ na rzeczywistość polityczną w kraju. W Polsce czytało się Giedroycia i Mieroszewskiego, a nie Grydzewskiego czy Mackiewicza (Józefa, rzecz jasna – Stanisław i jego powrót z emigracji to osobna historia). Dlatego paryska „Kultura” miała duży wpływ na strategię opozycji demokratycznej, która położyła podwaliny pod Solidarność. Jednym z kluczowych momentów formułowania tej strategii była publikacja w piśmie Giedroycia eseju Leszka Kołakowskiego *Tezy o nadziei i beznadziejności* (2006: 405–426). Główna idea tego tekstu polegała na odrzuceniu wiary rewizjonistów, że możliwe są tylko zmiany wprowadzane odgórnie przez rządzących. Kołakowski odrzucał podstawowe założenie nurtu niepodległościowego, że „socjalistyczna forma niewoli nie może być usunięta częściowo ani zredukowana stopniowymi reformami, lecz

wymaga jednorazowego totalnego zniszczenia". Wręcz przeciwnie, opozycja powinna się nastawić na ewolucyjne zmiany wewnątrz systemu. Kołakowski opowiadał się za powstaniem wielu oddolnych inicjatyw społecznych, które – każda na swoim polu – domagałyby się konkretnych zmian w systemie politycznym.

Kilka lat później powstał w kraju Komitet Obrony Robotników, który opierał się właśnie na przeświadczeniu o sensowności oddolnej presji społecznych na władzę. W kolejnych tekstach publikowanych na łamach „Kultury” rozwijano myśl, że podstawą działalności opozycji nie może być nierealny – jak sądzono – postulat pełnej niepodległości. Podstawą powinien być legalizm praw człowieka, czyli uznawanie podstaw ustrojowych ówczesnego systemu politycznego, przy wywieraniu stałej presji na władzę, by respektować prawa człowieka zgodnie z podpisanym przez PRL Aktem Końcowym KBWE. Ta strategia pozwoliła w 1980 roku zarejestrować NSZZ Solidarność jako instytucję niepodważającą ustrojowych fundamentów PRL-u. Strategia KOR-u, a następnie Solidarności, z oczywistych względów nie była zgodna z ideami Londynu. Bezsprzecznie to obóz Giedroycia miał dużo większe zasługi w procesie wyzwolenia się polskiego społeczeństwa z okowów komunizmu, gdyż zamiast postawy *splendid isolation* wybrał drogę czynnego wplywania na rzeczywistość w kraju.

### **Błazen królem**

Strategia przyjęta przez opozycję zawiodła jednak w kluczowym momencie transformacji ustrojowej. Logika działalności oddolnego ruchu społecznego, który w imię praw jednostki walczy z dyktatem państwa, kształtowała sposób myślenia nowych przywódców.

W nazwaniu tego fenomenu pomocny jest inny esej Leszka Kołakowskiego *Kapłan i błazen* (2006). Autor stawia w nim tezę o istnieniu dwóch antagonistycznych postaw filozoficznych: absolutystycznej i antyabsolutystycznej, reprezentowanych

### **Nieztomność Londynu zmuszała do przedkładania wolności nad kaszę**

odpowiednio przez figury kapłana i błazna. Podczas gdy kapłan broni wartości, błazen podważa wszelkie postaci dogmatyzmu, jest nieufny i krytyczny, broni wartości sztycherstwa i indywidualizmu. Kołakowski sformułował w ten sposób nowy kanon cnót intelektualisty zaangażowanego. Tekst ten komentował po latach Ryszard Legutko: „Błazen nie mógł przyjąć więc żadnego stanowiska absolutystycznego, bo istniało podejrzenie, a nawet pewność, że prędzej czy później stanie się on funkcjonariuszem instytucji, jaka z tego stanowiska się wyłoni. I odwrotnie: szydząc i podważając racje absolutyzmu, błazen nie tylko bawił się zakłopotaniem, w jakie wprawiał nadętego i samozadowolonego kapłana, ale swoją działalnością ratował swobodę ludzkiego umysłu przed zniewoleniem w rygorach instytucjonalnej ortodoksji” (Legutko 2006: 113).

Większość inteligencji lewicowo-liberalnej odnalazła się w postawie błazna, która znakomicie przydawała się w działaniach opozycyjnych. Błazeństwo było reakcją obronną na permanentną opresję ze strony państwa zbudowanego na absolutystycznej ideologii, dawało też znakomite efekty w walce z komunistyczną ortodoksją. Zasadnicza ułomność tej postawy ukazała się jednak po 1989 roku. To bowiem, co w czasach PRL-u było największą cnotą błazna – kwestionowanie ładu

– w okresie budowania państwa okazało się groźną wadą. Lewicowo-liberalne elity solidarnościowe, wychowane w kulcie cnót błazeńskich, były niezdolne do przedstawienia rozumowania na tryb państwowy. Esencję błazeństwa niezwykle celnie ujął Jacek Kuroń: „Duchowość lewicy jest antyformalistyczna, jak sądzę, ze względu na to, że to, co sformalizowane, przeciwstawia się wszelkiej spontaniczności, jawi się więc jako ograniczające wolność. [...] W tej duchowości wartością jest miłość, a raczej nie rodzina, społeczeństwo, a w żadnym razie nie państwo; sprawiedliwość, ale nie prawo; ruch społeczny, a nie organizacja, hierarchia” (Kuroń 1989: 27). Jeśli elity tworzące podstawy państwa odrzuciły prawo jako gwaranta sprawiedliwości, przedkładały ruch społeczny nad hierarchię, wreszcie wywyższyły społeczeństwo kosztem państwa, to w ich działalności wpisana była sprzeczność. Chciały bowiem zbudować państwo na doktrynie antypaństwowości.

Oczywiste jest zatem, że „całe pomieszanie brało się z faktu, że dychotomia kaptan – błazen powstała w warunkach nienormalnych, a miała się stosować do warunków normalnych” (Legutko 2006: 114). Błazen znakomicie potrafił obronić swoją wolność wewnętrzną i społeczną różnorodność przed dyktatem państwa komunistycznego. Zbudować sprawne państwo może jednak tylko ktoś, komu bliska jest umysłowość kaptana, uznającego wartości za fundament systemu prawnego. Zbudować dobre państwo można tylko wtedy, jeśli szanuje się jego istotę, a nie antagonizuje się go z żywiołem społecznym. Zaskakujące, ale ten sam pogląd podzielał Kołakowski, pisząc, że „na dworze króla jest więcej kaptanów niż błaznów – podobnie jak w jego państwie jest więcej policjantów niż artystów. Nie wydaje się,

by mogło być inaczej. Przewaga wyznawców mitologii nad ich krytykami wydaje się urządzeniem nieuchronnym i naturalnym: jest przewagą jednego świata rzeczy nad wielością światów możliwych” (Kołakowski 2002: 292). Choć opowiadał się za filozofią błazna, dostrzegał on, że państwo musi posiadać pewien ład aksjolo-

### *Esencję błazeństwa niezwykle celnie ujął Jacek Kuroń*

giczny. „Nie wydaje się, by mogło być inaczej”. Oczywiście błazen jest niezbędnym elementem dworu, nigdy jednak nie powinien się stać królem. Taką jednak sytuację mogliśmy zaobserwować w transformacji ustrojowej, gdy zwolennicy filozofii błazna stali się kluczowymi decydentami politycznymi.

Dynamika przemian w 1989 roku została zdeterminowana w ogromnej mierze przez antyinstytucjonalne nawyki elit solidarnościowych. Niechęć wobec instytucji, lęk przed wzięciem odpowiedzialności za państwo, brak orientacji w myśleniu w kategoriach struktur i harmonii organizacyjnej spowodowały, że zmiany były nie tylko zbyt wolne, ale i zdecydowanie zbyt powierzchowne. O ile więc trudno się nie zgodzić, że trzeba było usiąść z komunistami do Okrągłego Stołu, to późniejsza, nieracjonalna z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, spolegliwość i opieszałość opozycji wydaje się już mniej zrozumiała. Kaptan nie zgodziłby się na zmianę ordynacji między pierwszą i drugą turą wyborów w 1989 roku, nie czekałby biernie na ruch przeciwnej strony, ale zagrałby o pełną stawkę. Kaptan bowiem łaknie państwa – ono jest jego naturalnym środowiskiem. Kaptani z emigracji mieli w sobie tę konieczną dozę bezkompromisowości i swobody myśli.



## Postemigracyjna neotradycjonalizacja

Najgorszym dziedzictwem komunizmu jest jednak nie tyle ukształtowanie mentalności błazeńskiej, co fundamentalne zerwanie ciągłości. Rezultatem tego zerwania, które opisał w *Eseju o duszy polskiej* Ryszard Legutko, jest syndrom postkolonialny: „Polacy ciągle szukają swojego miejsca, nadrabiają zaległości, dotychczas do innych, zamiast zajmować się kształtowaniem współczesnego świata zgodnie

### *Państwową formę należy na powrót nasycić treścią*

z własnymi planami i poczuciem słuszności” (Legutko 2008: 9). Jeśli na nowo chcemy „kształtować świat zgodnie z własnymi planami i poczuciem godności”, to musimy szukać sposobów powrotu do żywej tradycji. Decyzja o separacji od biegu spraw peerelowskiej polityki immunizowała emigrantów na komunistycznego wirusa. Emigracja okazuje się dziś półwieczną zamrażarką idei wyptywających z samego źródła polskiej swoistości. To coś znacznie więcej niż tylko zakonserwowane idee II Rzeczypospolitej. To pomost przerzucony nad wodami komunistycznego potopu do polskości jako takiej.

Książkę *Postkomunizm* (2001) Jadwigi Staniszkis, opisującą przemiany w Polsce na przelomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, można odczytać jako rozwinięcie tezy o braku mentalności kaptańskiej w epoce transformacji. Staniszkis oskarża polską klasę polityczną, że doprowadziła do obumierania państwa. Powodem tego obumierania była „radykałna zmiana racjonalności”, polegająca na odejściu od koncepcji hierarchicznie zorganizowanej struktury procedur i przejściu

do koncepcji państwa „odcentrowionego”, zorganizowanego w matrycę „pajęczyn”. Odpowiednikiem tego odcentrowienia w aspekcie zewnętrznym jest globalizacja. Zarówno w płaszczyźnie wewnętrznej, jak i zewnętrznej obserwujemy więc proces „ucieczki od państwa”. Wewnątrz uciekamy w kierunku pajęczyn (networków), a na zewnątrz ku strukturom europejskim. W taki sposób w praktyce realizowała się filozofia błazna. Integracja ze strukturami europejskimi nie była przez polską klasę polityczną rozumiana i praktykowana jako zarządzanie suwerennością, ale jako ucieczka od niej. Ma to swoje konsekwencje w sposobie, w jaki Polska obecna jest dziś w UE. Staniszkis stawia kluczową dla naszych rozważań kwestię: „W toku obumierania (a w przypadku postkomunizmu [...] – także samolikwidacji) państwa, trzeba sobie zadać pytanie: czy należy zachować szacunek dla tej deesencjalizującej się formy?” (2001: 132).

Nasza odpowiedź na to pytanie jest zdecydowanie twierdząca. Państwową formę należy na powrót nasycić treścią. Postużyć do tego może analizowana przez Staniszkis neotradycjonalizacja, która prowadzi do modernizacji. Neotradycjonalizacja jest mechanizmem polegającym na selektywnym przywoływaniu elementów z przeszłości w celu stawienia czoła aktualnym wyzwaniom. Neotradycjonalizm postkomunizmu polegał na hybrydowym łączeniu naiwnego liberalizmu w obszarze idei z instytucjonalnymi zasobami z czasów komunizmu na poziomie praktyki. Nowy neotradycjonalizm „postemigrancyzmu” powinien się opierać na republikanizmie, obecności religii w sferze publicznej, idei dobra wspólnego i umiłowaniu państwa. Nieprzypadkowo jednym z pierwszych dwudziestowiecznych obrońców tradycji politycznej I RP był



londyński emigrant – Oskar Halecki (2012: 244). Na poziomie instytucjonalnym neotradycjonalizacja powinna sięgnąć nie do zasobów ustrojowych epoki komunizmu, ale do państwowych tradycji II RP i na ich fundamentach budować ład prawny.

Druga neotradycjonalizacja powinna zostać wprowadzona zupełnie inaczej niż pierwsza. Żywiotowość procesu, który doprowadził do ukonstytuowania się postkomunizmu, spowodował, że nie mógł być tu wykorzystany mechanizm selekcji „dzielącej zapożyczenia i wpływy na te, które mają szansę zakorzenienia (gdyż mieszczą się w przestrzeni wyznaczonej przez ontologiczne i epistemologiczne założenia danej kultury), i te, które zostaną odrzucone bądź zmarginalizowane. Zdolność danej kultury (systemu) do takiej selekcji jest zbieżna ze zdolnością do zachowania tożsamości” (Staniszki 2001: 149). Stawkę, o jaką toczyła się gra, celnie ukazuje Marek Cichocki w swym komentarzu do książki Staniszki. Chodzi o wybór „między demokracją peryferyjną i demokracją zdolną do reprodukcji własnej tożsamości, a tym samym zdolną do świadomej reakcji na zewnętrzne wyzwania” (Cichocki 2005: 118). Nowa neotradycjonalizacja powinna być radykalnie różna od postkomunizmu w co najmniej trzech aspektach. Po pierwsze, powinien to być proces intencjonalny, a nie nieświadomy. Po drugie, powinien zadziałać mechanizm selekcji zapożyczeń. Po trzecie wreszcie, neotradycjonalizacja powinna pozwolić nam przeformułować rozumienie własnej tradycji, by stała się ona „procesem racjonalnej selekcji, podtrzymującej logiczną ciągłość sensów i granic zbiorowej tożsamości społeczeństwa demokratycznego”, a nie „potrzebą estetyczną, której zaspokojenie nie musi przestrzegać żadnej logicznej ciągłości sensów ani trzymać się żadnych warunków brzegowych” (tamże: 119).

## Rzeczpospolita kapitańska

W momencie transformacji neotradycjonalizacja była zatem możliwa jedynie na podstawie dziedzictwa emigracji londyńskiej. Paryż, mimo wielkich zasług w procesie formułowania strategii ruchu społecznego w PRL-u, zawiódł w okresie transformacji. Jego perspektywa okazała się zbyt realistyczna, zbyt bliska tej, którą przyjmowali krajowi intelektualiści; nie była więc ona postawą emigracyjną *par*

### *Emigranci wykonali już swoje zadanie, teraz czas na nas*

*excellence*. Jedynie ośrodek londyński, płacąc za to ogromną cenę nieobecności w dyskusjach intelektualnych opozycji, był w pełni impregnowany na ideologię komunistyczną. Ta tradycja była także znakomitą remedium na filozofię błazna, stanowiąc alternatywę dla koncepcji ucieczki od państwa, którą reprezentowała ważna część elity solidarnościowej. Już w 1945 roku Ryszard Wraga pisał w broszurze *Rola i zadania emigracji polskiej*, że „zadaniem emigracji [...] jest dokonanie tego wszystkiego, co jest potrzebne dla przedłużenia idei polskiej państwowości, polskiej suwerenności politycznej, polskiej niezależności duchowej, polskiej myśli politycznej i społecznej, a czego dokonać nie będzie mogło społeczeństwo w kraju, będące pod okupacją wrogiej polityki, wrogiego ustroju społecznego, wrogiej myśli politycznej i społecznej i – co najważniejsze – wrogiego ducha” (Wraga 2012). Emigranci wykonali już swoje zadanie, teraz czas na nas.

Przyjrzyjmy się elementom dziedzictwa londyńskiego przesądzającym o tym, że to właśnie ten obszar inspiracji powinien mieć decydujący wpływ na kształt postulowanej drugiej neotradycjonalizacji.

Pożądaną kaptłański rys londyńczyków widać najwyraźniej w podejściu do państwa i prawa. Podtrzymywanie przez kilka dekad struktur legalnego państwa polskiego nie było dla nich „zabawą w państwo”, jak przedstawiała to propaganda komunistyczna. Państwo było dla emigrantów, by postąpić się frazą Carla Schmitta, formą egzystencji. To właśnie ono stanowiło element, wokół którego ogniskowała się wspólnota, a jednocześnie określało, kto jest przyjacielem a kto wrogiem. Właśnie wokół prawa do istnienia legalnego państwa polskiego tworzyła się emigracyjna wspólnota polityczna. O ile więc nad Wisłą istniało państwo w znaczeniu organizmu grupującego większość narodu, uznawanego do tego przez większość wspólnoty międzynarodowej, to było to jednak państwo bez wspólnoty, bez polityczności. Nad Tamizą w tym samym czasie istniała wspólnota przesycona politycznością, pozbawiona jednak organizmu państwowego. Dla emigracyjnych kaptanów państwo nie było, jak dla krajowych błaźnów, systemem nacisku, wrogą strukturą, którą należy zwalczać poprzez systemowy antyinstytucjonalizm. Ich pragnienie państwa może wyglądać z dzisiejszej perspektywy wręcz komicznie. Podziały polityczne, spory konstytucyjne i ustrojowe, retoryka dobra wspólnego, to wszystko przejawy kaptłańskiej, instytucjonalnej tożsamości. Tożsamości, w której państwo jest czymś, o co się walczy, dla czego się cierpi, za czym się tęskni. Ten element dziedzictwa emigracji powinien najmocniej przemawiać do twórców III Rzeczypospolitej, którzy mogli polską polityczność realizować nareszcie w ramach państwa, stanowiącego jej naturalną przestrzeń. Zaszczepienie tej tożsamości powinno być rezultatem drugiej neotradycjonalizacji.

Londyn zachował także silne przekonanie na temat zasad aksjologicznych, wokół których powinna się koncentrować polityczność Polaków i na których powinien być ufundowany ład prawny. Najlepiej widać to w emigracyjnej wizji dziejów Polski. Jej świadectwem mogą być obchody tysiąclecia państwa polskiego, zorganizowane w 1966 roku na londyńskim stadionie White City. Na trybunach zasiadło wówczas około trzydziestu tysięcy Polaków. Centralną częścią obchodów było ogromne widowisko prezentujące dzieje naszego kraju. Kluczową rolę miał w nich odrywać Kościół. Podkreślono też rolę misji, jaką wypełnić ma naród polski w dziejach świata. Taki właśnie model przeszłości dominował na emigracji. Model ten był, jak domagał się tego Cichocki, „modelem spójnej tożsamości zbiorowej, zbudowanej wokół jednego kanonu wartości” (2005: 159). Podczas gdy liderzy opozycji demokratycznej co rusz musieli iść na kompromisy z władzą, wypaczając zasady aksjologiczne, emigracja starannie je konserwowała. Emigracyjni kaptani podchodzili do tradycji w sposób wartościujący, co jest pierwszorzędym warunkiem skutecznej neotradycjonalizacji. Dodatkowo, ich wartościowanie polskiej tradycji było swobodne, a nie wynikało z odgórnie narzuconych konstruktywistycznych fantasmagorii. Przewaga kaptłana nad błaźnem znajduje się więc nie tylko na poziomie formy, ale i treści.

### **Jamnik i Ikar**

Zgodnie z popularnym powiedzeniem Stefana Kisielewskiego, z psa wychowywanego pod szafą zawsze wyrośnie jamnik. Opisująca przez nas transformacja ustrojowa dokonywana według logiki błaźńskiej dowodzi prawdziwości tych słów.

Perspektywa elit solidarnościowych była zbyt skażona schematami myślenia charakterystycznymi dla antypaństwowego spoleczeństwa obywatelskiego, by szybko przyswoić sobie kategorie państwowotwórcze. Państwo tworzone według peerelowskich schematów myślenia opozycji musi przypominać jamnika, który nie jest w stanie dostrzec szerszych horyzontów. Jest to państwo, którego ambicje zamykają się w postulatcie ciepłej wody w kranie. Doświadczenie uczy, że minimalizm nie pozwala nawet osiągnąć skromnie zarysowanych celów. Zbudowanie infrastruktury dla ciepłej wody wymaga bowiem sformułowania fundamentalnej i dalekosiężnej wizji rozwoju. W momencie transformacji ustrojowej zabrakło nam zatem szerszej perspektywy państwowej zakorzenionej w polskiej tradycji. Dorobek emigracji londyńskiej był w tym czasie naturalnym źródłem tego typu myślenia. Jest to zatem niewykorzystana szansa na radykalne odcięcie się od dziedzictwa komunizmu i nawiązanie symbolicznej i prawnej ciągłości z II RP. Tylko w ten sposób mogliśmy zbudować demokrację zdolną do reprodukcji własnej tożsamości.

Trzeba jednak zauważyć, że nie wykorzystaliśmy tej szansy także po części w wyniku postawy „niezłomnych”. Życie polityczne polskiego Londynu ilustruje bowiem poważne niebezpieczeństwo, jakie tkwi w oddzieleniu idei od ich stosowania w rzeczywistości politycznej. Tak jak praktyka podlega degradacji bez szerszej wizji, tak samo idee bez możliwości ich urzeczywistnienia zaczynają się wynaturzać. Emigranci londyńscy zachowywali kontakt z rzeczywistością wyłącznie dzięki perspektywie powrotu do kraju. Historia emigracyjnej myśli politycznej bardzo wyraźnie wskazuje, że gdy tej perspektywy zaczynało brakować, zaczynał się proces ucieczki od

jakiegokolwiek racjonalności. Tymon Terlecki pisał o tym bez złudzeń: „Kraj przeżywa błogostawione upojenie odbudową. Wszystko to nie jest udziałem emigracji, pozbawio-

## *Pora, żeby dziś przemówił do nas Londyn*

nej dotknięcia ziemi ojczystej, zawieszanej w stratosferze obcości, boleśnie trzeźwej, widzącej jasno tragiczną złożoność naszego losu. Nikt nie utaja, że emigracja polityczna jest hazardem” (Terlecki 2003: 129). Wszystko, co pozytywne w tradycji emigracyjnej, musi być postrzegane w perspektywie jej trwania w „stratosferze obcości” czy – jak w innym miejscu pisał Terlecki – „napowietrzności” jej walki (tamże: 148).

Historia Paryża i Londynu pozwala nam wysnuć uniwersalne wnioski na temat stylów politycznego myślenia. Minimalizm celów i dyktat *status quo* prowadzi do postawy jamnika, który nie jest w stanie dostrzec ogólniejszej perspektywy swoich działań. Postawę tę w wypadku polskiej transformacji wzmacniała charakterystyczna dla lewicy solidarnościowej antyabsolutystyczna filozofia błazna, odrzucająca wszelkie hierarchie i wszelką ortodoksję. Jednocześnie absolutyzowanie symboli, pochwała czystości ideowej i niechęć do dwuznaczności politycznej praktyki prowadzić musi do postawy Ikar. Jest to styl politycznego myślenia charakterystyczny dla kapitanów, którzy są tak zapatrzeni w wyznawany przez siebie ideał, że nie orientują się, iż dawno znaleźli się w „stratosferze obcości”. Ich język oraz kategorie myślenia stają się tak bardzo obce większości rodaków, że nie są już w stanie nawiązać z nimi realnego dialogu. Ikar znajduje się tak blisko ideału, że topią się jego skrzydła pozwalające oddziaływać mu na rzeczywistość polityczną.

Historia polskiej emigracji jest przede wszystkim zachętą, by nieustannie szukać równowagi między postawą jamnika i lkar, między niezbędnymi ideałami politycznymi i praktyką dnia codziennego. Lektura pism londyńczyków nie powinna prowadzić do ucieczki od odpowiedzialności za współczesną Polskę z uwagi na jej niedostatki. Nie chodzi o niezłomny sprzeciw wobec Polski Okrąglego Stółu, tak jak niezłomny był sprzeciw wobec

Polski jałtańskiej. Jest to najlepsza droga, by skończyć jak lkar w „stratosferze obcości”. Niezłomni, w imię wyższych racji rezygnujący z wpływania na rzeczywistość, sami oddają pole pragmatycznym jamnikom. Wierzmy, że silną Polskę odbuduje jedynie elita, która będzie umiała odrobić zarówno lekcję pragmatyzmu Paryża, jak i idealizmu Londynu. Paryż był uważnie słuchany przez dziesiątki lat – pora, żeby dziś przemówił do nas Londyn.

---

### **Co dalej?**

Polski Londyn to jednak nie tylko dziedzictwo idei, lecz także pamięć, której nie chcemy i nie potrafimy zachować. Piszą o tym dalej Jakub Moroz i Paweł Chojnacki.